

Są dwie Waverly

Pierwsza: ma nieskazitelny wygląd, popularnych przyjaciół, najlepsze oceny w szkole i świetne wyniki w sporcie.

Druga: to tajemnicza dziewczyna, która zagłusza myśli bieganiem do utraty tchu. W nocy zastanawia się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby rzuciła maskę, którą nosi za dnia.

Jest dwóch Marshallów

Pierwszy: bad boy, który nadużywa alkoholu, ryzykując wydalenie ze szkoły. Nie ma to dla niego znaczenia – w końcu jest nikim.

Drugi: ten, który czuje więcej, niż przyznaje sam przed sobą. Zmaga się z ciężarem, o którym inni nie wiedzą.

Waverly i Marshall spotykają się... we śnie. Tam oboje mogą być sobą, a dotyk wydaje się równie prawdziwy jak na jawie. Czy odważą się swoje wyśnione miejsca zamienić na rzeczywistość?

Ta powieść jest jak sen, z którego nie chciałam się obudzić. Hipnotyzująca, seksowna i tajemnicza... Mój wakacyjny must have!

KLAUDIA HALEJCIO

E-book dostępny na
woblink.com

ISBN 978-83-7515-404-7

MBP Cieszanów
Wyśnione miejsca /



M000010365

 **lubimyczytać.pl**

 **LAT**
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

MOONDRIVE
JEST MARKĄ
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO



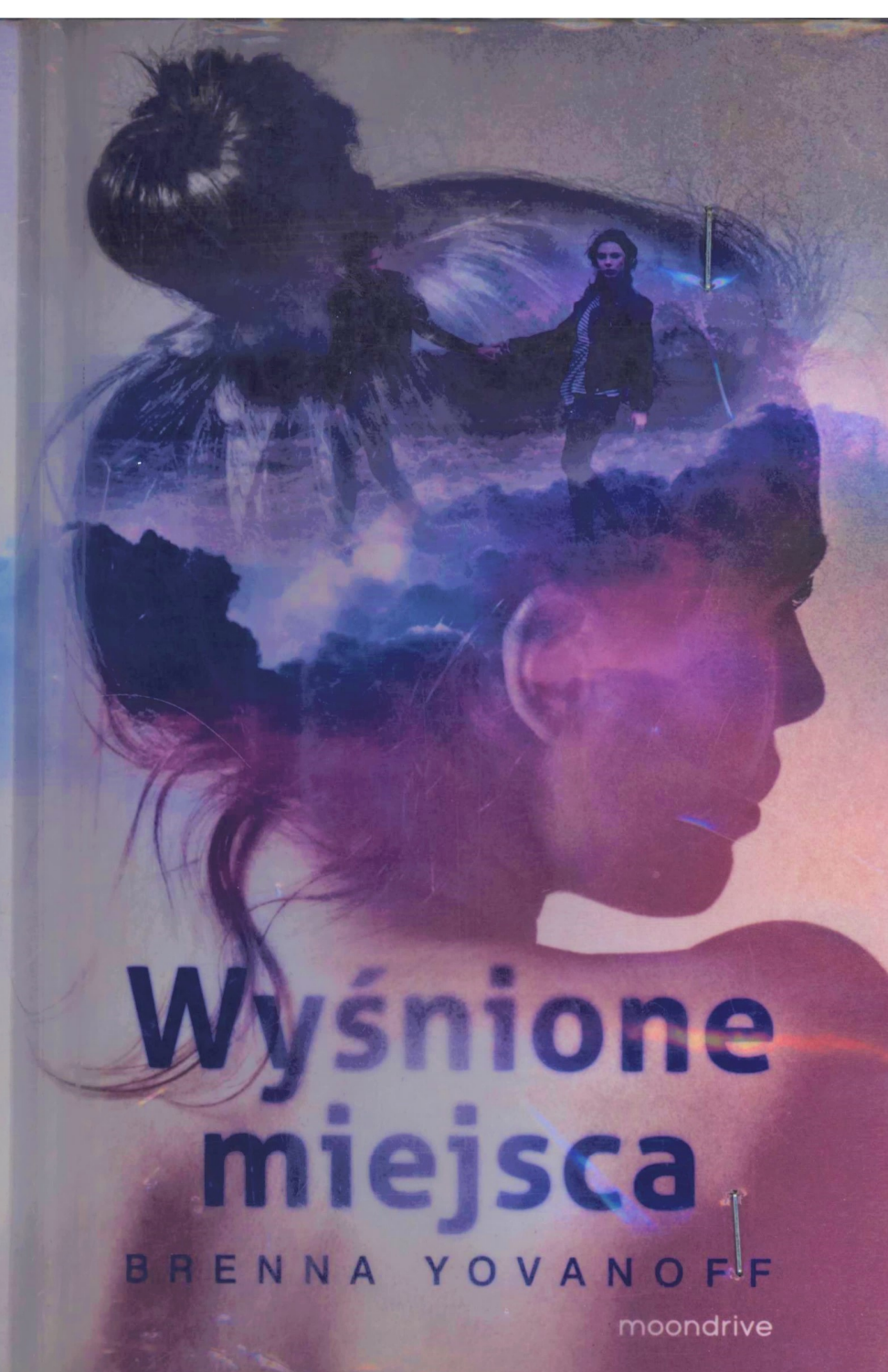
BRENNA YOVANOFF

Wyśnione
miejsca

Wyśnione miejsca

BRENNA YOVANOFF

moondrive



WAVERLY

Bolą mnie stopy.

Pulsują przenikliwym bólem, który daje o sobie znać, gdy tylko wyskakuję z łóżka. Wchodzę pod prysznic, stoję pod strumieniem wody i po piętnastu minutach ból nieco ustępuje. Czuję się otępiała, głowę mam jak wypchaną bawełną.

Przez cały ranek telefon wetknięty w boczną kieszeń torby natrętnie brzęczy.

Przyszło pięć wiadomości. Przeliczam je: rzeczywiście pięć. Autorem wszystkich jest CJ, z którym znam się od dwóch lat, ale o którym tak naprawdę nic nie wiem. Przynajmniej nic istotnego. Wiadomości również pozbawione są znaczących treści.

– Skąd ten twój wisielczy nastrój? – Na trzeciej przerwie Maribeth dziarskim krokiem podchodzi do mojej szafki i opiera mi brodę na ramieniu.

Siłą woli zmieniam wyraz twarzy z pochmurnego na neutralny, po czym podaję przyjaciółce telefon, na którym wyświetla się treść ostatniej wiadomości: „zwiąłem z historii, tesh nie znosisz rzymian?”.

– CJ pisał do mnie dziś rano. Kilka razy.

– Naprawdę? To wspaniale! To coś naprawdę nadzwyczajnego, wiesz?

Przez chwilę zastanawiam się nad możliwymi interpretacjami wypowiedzi Maribeth, ale tak czy inaczej odpowiedź nasuwa mi się tylko jedna: nie widzę nic nadzwyczajnego w tym, że dostałam pięć esemesów od tej samej osoby. CJ ma mój numer. Wie, jak obsługiwać telefon. Cała reszta to wypadkowa tych dwóch okoliczności.

– Nie jest ci przyjemnie, kiedy wiesz, że myśli o tobie? – pyta Maribeth, a ja uzmysławiam sobie, że nigdy nie będę mogła odpowiedzieć jej tak, by mnie zrozumiała.

Gdy patrzę na telefon i widzę wiadomość od Borsena: „Jak sie masz, mała” zakończoną trzema znakami zapytania i wykrzyknikiem, wiem, że nie pasujemy do siebie. Wcale nie chodzi o swobodne podejście do gramatyki czy interpunkcji, ponieważ nie jestem radykałem pod tym względem. Po prostu nie sądzę, żebyśmy mogli się porozumieć chociażby w podstawowych kwestiach.

Mijają kolejne zajęcia, dzień wydaje się odrealniony i bezkresny. Mam wrażenie, że serce bije mi coraz wolniej.

Na ostatniej godzinie lekcyjnej idę na dyżur. Biuro pedagoga jest puste – jak zwykle we wtorek – i przez pierwszy kwadrans zajmuję się ścieraniem kurzu z fotokopiarki oraz porządkowaniem formularzy. Kompulsywne sprzątanie nie może jednak trwać w nieskończoność, zawieszam więc na drzwiach tabliczkę z napisem: „Zaraz wracam”, wypisuję sobie przepustkę i wychodzę trochę się przejść.

Chciałabym porozmawiać z kimś i móc mówić szczerze. Chciałabym ponazywać wszystkie myśli, które tłuką mi się po głowie jak szalone, i wiedzieć, że istnieje na tym świecie ktoś, kto je zrozumie.

Zamiast tego krążę po szkole, aż w końcu trafiam do toalety w zachodnim skrzydle, stoję przed ścianą wyznań i patrzę na wyjawione tajemnice. Jest ich całe mnóstwo i brzmią o wiele prawdziwiej niż słowa wypowiedziane na głos w codziennych rozmowach. Tysiące prawd na temat narkotyków, seksu i przyjaźni. Na temat piękna, zazdrości, ciała. Miłości. Nawet jeśli zdołałabym przeczytać je wszystkie w ciągu godziny, za godzinę znów przybyłoby nowych.

*Nie wiem, co to znaczy zachowywać się
jak normalny człowiek, i trudno mi z tym żyć.*

Moja najlepsza przyjaciółka mnie nie lubi.

*Mój chłopak nie jest nawet miły.
Dlaczego bycie samą wydaje się straszniejsze
niż bycie nieszczęśliwą?*

W rogu, obok kaloryfera, ktoś napisał:

*Nie chcę się zagłodzić,
chcę tylko być szczupłą.
Nigdy nie myślałam, że to stanie się problemem.*

Przeglądam się charakterowi pisma, usiłuję ustalić, czy znam autorkę tego wpisu – może to ktoś z sekcji biegów przełajowych?

A może to nie ma znaczenia.

Może liczy się tylko to, że wyznanie jest prawdziwe.

Czując ucisk w piersiach, rozpinam torbę. Postępuję bez sensu. Mieszam się w nie swoje sprawy. Grzebię jednak w torbie

w poszukiwaniu piórnika wyładowanego bronią szczerego rażenia.

Wyjmuję zielony flamaster, którego nigdy nie używam. Odnoszę wrażenie, że to nie ja, ale ktoś inny zdejmuję zatyczkę i drukowanymi literami starannie pisze pod wyznaniem:

*Porozmawiaj z Sharon z dyrekcji
o programie Zdrowe Wybory.
Rodziców informują dopiero
po trzeciej wizycie u psychologa.*

Wychodzę z toalety, zastanawiając się, czy udzielanie specjalistycznych porad bez odpowiedniego przygotowania nie jest nadużyciem.

W głębi ducha odczuwam jednak spokój.

Nie trzeba chyba mieć dyplomu, żeby praktykować zwykłą przyzwoitość.

*

Dom – miejsce, w którym wewnętrzne napięcie nieco ustępuje, a kontrolka sygnalizująca zagrożenie ze strony bezpośredniego otoczenia w końcu gaśnie. Nikt mnie tu nie obserwuje, nikt nie oczekuje ode mnie niczego poza inteligencją, dowcipem i opanowaniem.

Na kuchennym blacie leży sterta jadłospisów z daniami oferowanymi na wynos przez różne lokale, wokoło unosi się ciepły aromat imbiru i trawy cytrynowej. Moi rodzice stoją naprzeciwko siebie oparci o szafki, jedzą tajską potrawę z papierowych pojemników i rozmawiają o determinizmie psychologicznym.

Nie znam żadnych innych rodziców, którzy lubiliby siebie tak bardzo jak moi. Przyciągają się niczym nukleony, pasują

do siebie jak różnoimienne bieguny magnetyczne. Porozumiewają się za pomocą chłodnego, logicznego języka teorii i statystyki, ale wpatrują się w siebie wzrokiem flirtujących podlotków.

– Przypomnij mi – prosi mama – to badanie z Cambridge na temat automatycznego jedzenia. – Pasemka siwizny, które przetykają jej włosy, w świetle kuchennej lampy połyskują srebrzyście. – Sugerowano w nim, że jedzenie produkowane na skalę przemysłową uzależnia, czy raczej udowodniono, że przy użyciu manipulacji można sprawić, aby ludzie jedli, cokolwiek im się podsunie?

Tata uśmiecha się i wymachuje pałeczkami.

– Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że wolna wola to pojęcie wadliwe, ponieważ nie bierze pod uwagę presji rówieśniczej?

Mama przełyka kolejny kęs pad see ew, po czym zaczyna miniwykład na temat warunkowania społecznego.

Siadam na wysokim barowym stołku przy blacie i przyglądam się rytuałom godowym rodziców. Wyjadając zielone curry z plastikowego kubka, myślę o tym, że nigdy nie widziałam dwojga ludzi tak bardzo w sobie zakochanych i tak niedoścignionych.

Rzecz nie w tym, że kiedy trzeba, potrafią udawać lepiej niż ja, ponieważ wcale tak nie jest. Mama to chyba najdziwniejsza osoba, jaką znam. Chodzi raczej o to, że rodzice opanowali niespotykany język. Rozmawiają narzeczem, którym można się komunikować jedynie z kimś, kto cię całkowicie rozumie.

Nagle przelatuje mi przez głowę, że chciałabym wiedzieć, co sądzą na temat ściany wyznań. Może któreś z nich byłoby w stanie wytłumaczyć z psychospołecznego punktu widzenia, na czym polega atrakcyjność konfesyjnego graffiti. Może w końcu pojęłabym sens zapisków w toalecie. Jednak gdy tylko zaczynam sobie wyobrażać, jak potoczyłaby się taka rozmowa,

wiem, że skończyłaby się całkowitą katastrofą. Ja starałabym się wyjaśnić, dlaczego ich superracjonalna, przestrzegająca zasad córka niszczy mienie szkolne, a oni byliby całą tą sprawą równie zdumieni jak Maribeth.

Reagowanie na zachowania ludzi, którzy rozpaczliwie próbują zwrócić na siebie uwagę, nie leży w mojej naturze. Nigdy nie lubiłam się angażować w problemy innych. Jednak to, co dzisiaj zrobiłam, wydaje się bardziej wypełnieniem moralnej powinności. Skoro ktoś prosi – błaga – o pomoc, zapewne jej potrzebuje.

Gdy wychodzę z kuchni, niemal czuję, jak mama zerka w stronę drzwi, w których właśnie zniknęłam. Wie, że już mnie tu nie ma, zarejestrowała tę informację. Tyle że w tym momencie nie ma ona dla niej znaczenia.

W pokoju obsypuję proszkiem mineralnym dwa świerszcze, po czym karmię Franny i Zooey i przez chwilę patrzę, jak ostrożnie tropią ofiary w swoich terrariach.

Po zakończonej masakrze siadam z kolanami podciągniętymi pod brodę, wokół mnie leżą rozrzucone notatki z fizyki. Zastanawiam się, czy znów zapalić świeczkę – czy powinnam to zrobić, czy to bezpieczne. Czy wyobraziłam sobie to, co się stało w piątek. I jak dalece jest możliwe wyobrazenie sobie czegoś tak niepodważalnego, jak kupa błota i liści w pościeli.

Maribeth uznałaby, że wszystko jest możliwe, jeśli się do tego przyłożysz. Tyle że zapewne miałyby na myśli zdanie z wynikiem celującym testu kompetencji, a nie dokonanie pod osłoną nocy teleportacji. Usiłuję sobie wyobrazić, co powiedziałaby, gdyby wiedziała, że miałam tak realny sen, iż obudziłam się z ubłoconymi stopami.

Przyjaciółka zawsze wierzyła w moc wytrwałości w obliczu wyzwań. Nie rozumiesz pewnej sytuacji społecznej albo przykładu na matematyce? Nie ma sprawy. Nauczysz się, rozwiązując tę trudność. Chcesz być jedną z najbardziej wpływowych

dziewczyn w szkole, ale nie wiesz, jak to zrobić? Zapewnij sobie pomoc przyjaciółki, przygotuj plan i nie oglądaj się za siebie. Gaz do dechy, cała naprzód, po drodze dojdiesz, co i jak. Kolejne ruchy będą wypływały z poprzednich.

Ale ja wiem jeszcze coś: rzeczywistość nie zawsze musi być uporządkowana i kierować się zasadami zdrowego rozsądku.

W pierwszej klasie pojechałam do Baker na zawody regionalne i wieczorem cała nasza drużyna długo nie kładła się spać. Siedziałyśmy stłoczone w hotelowym pokoju, jadłyśmy drażetki czekoladowe i paplałyśmy o tym, kto już to zrobił, a kto jeszcze nie (chodziło oczywiście o seks – w tego typu rozmowach zawsze chodzi o jedno).

Gadałam o bzdurach już cały dzień i z minuty na minutę czułam się coraz gorzej. Nikt nawet nie myślał o spaniu, a ja byłam totalnie rozdygotana i miałam wrażenie, że jeśli zaraz nie ucieknę, rozsypię się na kawałki jak stłuczona filizanka.

Wzięłam jednego dolara, kartę magnetyczną i zeszłam na dół po coca-cole, ale gdy znalazłam się w holu, nie zatrzymałam się, tylko szłam dalej. W uszach mi dzwoniło, w dłoniach czułam mrowienie, przyspieszyłam kroku. Pod portykiem hotelowi boye mocowali się z bagażami, chcieli jak najszybciej wnieść je do środka, ponieważ zanosiło się na deszcz. Nad ulicą wisały ciemne chmury.

Miałam na sobie krótką atłasową piżamę w kaczuszki. Powinnam drzeć z zimna, ale od chodnika parowało ciepło. Gdy zeszłam z krawężnika, zerwał się wiatr. Poczułam pod gołymi stopami szorstką nawierzchnię ulicy i zaczęłam biec.

Minęłam sześć przecznic, zanim pierwsza błyskawica pocięła niebo oślepiającą siatką pęknięć przypominających stłuczoną szybę samochodową. Wtedy dotarło do mnie, że robię coś lekkomyślnego, a nawet niebezpiecznego, ale czasami trudno określić, w jakim stopniu naprawdę grozi nam niebezpieczeństwo, a w jakim jest ono złudne.

Skręciłam w szeroką aleję przecinającą dzielnicę mieszkaniową i wtedy niebo rozdarła kolejna błyskawica, ale tym razem grzmot rozległ się tak blisko, aż zadrżał chodnik. Przez sekundę cały świat zapłonął białym światłem, a na ulicy pojawiły się chmury ciem. Sfrunęły z drzew, wystrzeliły spod kół zaparkowanych samochodów. Noc zdawała się rozbłyskiwać milionami srebrnych odprysków. W następnej chwili porywisty podmuch wiatru zmiótł z ulicy liście, pozrywał gałęzie z drzew. Rozproszył ćmy. Piorun trzasnął niczym bat i nocne motyle zniknęły.

Do tej pory nie wiem, czy one w ogóle istniały, czy może wymyśliłam je sobie, żeby uczynić tę noc magiczną, a może po prostu było to złudzenie optyczne. Pomknęłam z powrotem do hotelu. Nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Strzepałam kamyki z nóg i położyłam się do łóżka, które dzieliłam z Kendry. Nie byłam pewna, czy wspomnienie z nocnego rajdu było prawdziwe, czy zmyślane. I czy w ogóle wyszłam z hotelu w trakcie burzy.

Odsuwam zadanie domowe na bok, po czym wyjmuję świecę. Żyję w prawdziwym świecie, a na świecie nie istnieją zjawiska niewytłumaczalne. Mimo to serce bije mi mocniej na samą myśl o ćmach i zwiędłych liściach. Nie wiedzieć czemu oddycham szybciej. Gdy zdobywam się na odwagę, żeby zapalić zapalnik, trzymam ją tak długo, aż płomień sam gaśnie, przypalając mi koniuszki palców. Wpatruję się w osmolone opuszki, usiłując ustalić, czy czuję w nich ból.

Zapalam kolejną zapalnik, płomyk migoce, odbijając się w słoiku, w którym umieściłam świeczkę.

No dobrze. Należy myśleć logicznie. Rozważyć możliwości. Być może sen jest zjawiskiem z pogranicza cudu – furtką prowadzącą do nieznannej rzeczywistości. Być może tamtej nocy przypadkiem przeniosłam się we śnie na czyjeś podwórko.

A może sen to zwykła czynność fizjologiczna, a ja daję się zastraszyć świecy.

Biorę głęboki oddech i przykładam płomień do knota.

Przykryta kołdrą, zaczynam odliczać, jak gdybym przygotowywała się do wylotu w kosmos. Z rękami przyciśniętymi do boków zapadam się w ciemność i chłodne gęste powietrze.

MARSHALL

Błyszczczyk

Wizyty w domu Kapitana zwykle kończą się tak, że ktoś zaczyna rzygać. Tym razem padło na Olliego.

Udało mu się dowlec do kuchennego zlewu, nad którym teraz pochyla się i spluwa. Gdy pytam, czy chce, żebym odwoził go do domu, wzrusza ramionami i mówi, że potrzebuje tylko jeszcze chwilę poleżeć, co w jego języku oznacza, że tak, chciałby już stąd pojechać, ale boi się, że zarzyga mi samochód. Podaję mu szklankę wody i zostawiam leżącego na boku na podłodze w łazience Heza.

W tym momencie nie ma przy mnie nikogo, kto wtrącałby się w moje sprawy, i łatwo mogę paść ofiarą decyzji, przed którymi przyjaciel zwykle mnie powstrzymuje. Gdy jednak przeglądam listę kontaktów w telefonie, nie mogę znaleźć na niej Heather. Zamiast tego na samym środku listy zauważam nowy wpis: „Nie chcesz tego zrobić”.

Parskam pod nosem ironicznym śmiechem. Mimo że nie ma Olliego pod ręką, żeby mógł się przyznać, wiem, że maczał w tym palec. Jak dawno ostatnio do niej pisałem? Wystarczająco dawno, żeby jej imię nie znajdowało się w kontaktach od